

Osada Katwe, dystrykt Kasese, zachodnia Uganda
23 września 2141 roku

Przed wszystkim uderzyła ich cisza. Kiedy łopaty przestały się obracać i znaleźli się na tyle daleko, by nie słyszeć szumu silników, Crowder odkaslnął i sprawdził, czy nie ogłuchł. Na zachodzie, pod nisko wiszącymi chmurami lśniła zatoka. Brzeg był łagodny jak okiem sięgnąć, a rozległa przestrzeń, w której się znaleźli, nie współgrała z dochodzącymi z niej dźwiękami. A dokładniej z ich brakiem. Jedynie cisza dźwiękoszczelnych pomieszczeń mogła być równie nieprzenikniona i Crowder starał się stłumić wrażenie, że zostali przykryci jakąś gigantyczną przezroczystą kopułą.

Potem uderzył ich upał, wyczerpujący i wszechogarniający, z rodzaju tych, przed którymi nie da się ukryć w cieniu. W ciągu kilku sekund ciało Crowdera pokryło się wilgocią, jakby ktoś w jego środku kliknął przycisk „pot”. Światło przefiltrowane przez chmury rozproszyło się w powietrzu i ogarniało żarem ze wszystkich stron. Pojedyncze drzewa rosnące wzdłuż asfaltu tańczyły w mirażach, które wznosiły się falami nad rozgrzaną glebą.

Pomimo zapewnień Lynch, że dron badający Katwe nie wykrył żadnych toksycznych substancji w powietrzu, Tyrone, Jake i Koman przed opuszczeniem Falcona założyli ochronne gogle i maski oddechow. Po zejściu z trapu Jake wyjął analizator powietrza i trzymał urządzenie przed sobą. Po upewnieniu się, że wskaźniki są zielone, zdjął maskę. Crowder i Namara, idąc w jego ślady, przesunęli maski na podbródki. Wcale nie było łatwiej; powietrze wydawało się gęste jak kisiel.

Major Nangobi i jego trzech towarzysze zamienili między sobą kilka słów i ruszyli do wioski. Crowder spojrział na nich, a potem, dostrzegłszy wzrok Jake'a, powiedział:

– My do jeziora.

Cała trójka pokonała nasyp drogowy i ruszyła w stronę wody.

Zatoka była ledwie kilkadziesiąt kroków od nich, gdy Crowder zdał sobie sprawę, że nie widzi żadnych oznak erupcji. 21 sierpnia 1986 roku na jeziorze Nyos w górach północno-zachodniego Kamerunu doszło do katastrofy limnologicznej, w której wyniku zginęło tysiąc siedemset osób. CO₂ wydobywający się z jeziora rozprzestrzenił się na odległość dwudziestu pięciu kilometrów i zabił wszystkie żywe istoty na swojej drodze: ludzi, zwierzęta gospodarskie, ptaki. Jeszcze przed startem Crowder przejrzał zdjęcia

z miejsca katastrofy. Po erupcji dolne warstwy bogate w żelazo wypłynęły na powierzchnię i się utleniły, nadając wodzie czerwony odcień. Poziom akwenu obniżył się o metr, a tsunami spowodowane eksplozjami gazu powaliło setki przybrzeżnych drzew. W przypadku Jeziora Edwarda żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Ani zmiana koloru, ani spadek poziomu wody. Ani jedno drzewo nie zostało wyrwane z korzeniami. Jezioro nie wybuchło.

Crowder stanął metr od wody, podparł się pod boki i odetchnął głęboko. Powietrze pulsowało gorącem. Plastikowa torba przepłynęła przed nim w powietrzu niczym meduza. Wzniesiony przez łopaty samolotu pył, osiadając, utrudniał oddychanie. Crowder przeskanował wzrokiem południowy brzeg, po czym odwrócił się i spojrzął w inną stronę, ku wiosce. Zobaczył dwie martwe, czarno nakrapiane krowy o rogach przypominających półksiężyc, kilka drzew z opuszczonymi gałęziami, kobietę w kwiecistej sukience, którą zauważył już z powietrza. Potrząsnął głową. Co tu się, do cholery, stało?

- Kurwa - wychrypiął Jake zza jego pleców.
- Co? - Crowder się obejrzał.
- Gorąco.
- Aha.

Jake co pięć sekund mrugał, a kropelki potu spływały mu z powiek. Jego zielona koszulka z długimi rękawami ciemniała pod pachami. Koman podszedł i zastygł w bezruchu obok niego. Wszyscy milczeli przez kilka sekund. W końcu Jake się odezwał:

- Jezioro nie wybuchnie ponownie? Po prostu zastanawiam się, co by się wydarzyło, gdyby część gazu pozostała na dnie i wyleciała z wody? - Oddychając ciężko, zmrużył oczy i spojrzął na Crowdera. - Czy to możliwe? - Wciągnął powietrze ustami. - Ale przecież zauważymy, że zbliża się erupcja? To znaczy zanim zaczniemy się dusić? Chcę wiedzieć, czy uda nam się dotrzeć do samolotu, jeśli...

Mówił bez przerwy, próbował ukryć się przed skwarem za potokiem własnych słów, dopóki cierpliwość Crowdera się nie wyczerpała:

- Delhomme, milcz.

Jake się zamknął, ale nadal dyszał głośno, wysunąwszy język.

Crowder odwrócił się twarzą do akwenu. Pomimo spokoju po jego tafli przebiegały zmarszczki. Daleko na zachodzie, we mgle zacierającej linię horyzontu, rozbłyskiwały cicho pioruny. Wiedział, że pobranie próbek będzie

formalnością; analiza raczej nie wykaże podwyższonego stężenia jonów metali ani nadmiaru dwutlenku węgla w wodzie. Mimo to zakomenderował:

– Nabierz wody. Dwie, trzy próbówki, nie więcej.

Jake wyjął szklane próbówki z torby przewieszanej przez ramię, podszedł do brzegu i je napełnił. Gdy skończył, zbliżył się do Crowdera.

– Teraz dokąd?

Ten machnął ręką w kierunku budynków wznoszących się we mgle na północy. Ruszyli prosto przez pole i w połowie drogi do wioski Tyrone zdał sobie sprawę, że upał nie jest ich największym problemem. Nad ziemią unosiła się uporczywa woń rozkładu, a im bliżej byli Katwe, tym stawała się silniejsza. Crowder ponownie założył maskę, ale duszący, słodki zapach wślizgiwał się pod nią, więc krzywił się z obrzydzenia przy każdym oddechu.

Tym razem przodem szedł Namara. Kiedy do skrzyżowania przy wjeździe do wioski pozostało trzydzieści metrów, Ugandyjczyk zatrzymał się i popatrzył na widniejące w oddali zwłoki krów.

– Co? – Twarz Jake’a pokryła zielonkawa bladeść. – Co się dzieje?

– Nie ma much – odpowiedział Koman gardłowym głosem.

– I ścierwników – dodał Crowder.

Przycisnął maskę oddechową do twarzy tak mocno, że na grzbiecie nosa i kościach policzkowych pojawiły się ślady. Jake przestępował z nogi na nogę i wodził wzrokiem po ziemi, jakby wypatrywał nie wiadomo gdzie zaginionych ścierwników w otaczającej go trawie.

– Czy to z powodu erupcji? – mruknął Namara.

„Nie było żadnej erupcji” – pomyślał Crowder, ale nie powiedział tego na głos.

– Cóż... muchy również oddychają... one też potrzebują tlenu. – Jake wypluwał słowa krótkimi seriami, wciskając je pomiędzy płytkie, pospieszne oddechy. – To normalne... muchy i te... ścierwniki... zdechły... razem z krowami...

Crowder, odwróciwszy się, zdjął rękę z respiratora.

– Ile czasu upłynęło od tego zdarzenia?

– To już czwarta doba – odpowiedział Namara.

– I przez cztery dni ani jedna mucha nie przyleciała na ucztę?

Jake zamrugał.

– Do diabła.

Crowder ruszył w stronę osady, ale Koman zatrzymał go gestem.

- I jeszcze ta trawa...
- Co z nią? – Spojrzał pod nogi.
- Nie podoba mi się jej wygląd. Nie tylko tutaj. Wszędzie.

Crowder w końcu zauważył, że kępy trawy na asfalcie wyglądały dziwnie. Były pomarszczone i uschnięte, żadna łodyga nie stała prosto. Dzieje się tak, gdy trawa wysycha na słońcu, ale tutaj to było coś innego. Żdźbła nie wydawały się suche, raczej nieco zwiędłe.

Crowder patrzył przez chwilę na stertę drzew rozrzuconych nad brzegiem, po czym ruszył w ich stronę, omijając krowie truchła. Jake poszedł za nim. Po pół minucie zatrzymali się przed przypominającym krzak drzewem o gładkiej korze i podłużnych liściach. Pędy leżały na ziemi, a liście o spiczastych końcach były zwinięte i opadłe. Gdzieś na gałęziach można było zobaczyć owoce utworzone z mięsistych grudek. Crowder rozwarł palcami jeden z liści; w pobliżu ogonka pojawiły się dziwne brązowe plamy.

- Jak stoisz z botaniką? – zapytał asystenta.

Jake wymamrotał coś pod nosem. Crowder wyciągnął tablet i sfotografował listek. Po chwili wahania zerwał go.

- Pakiet do próbek.
- Co? – Jake wykrzywił się, jakby ktoś go dotknął lutownicą.
- Pakiet z hermetycznym zamknięciem, Jake.
- A, tak... zaraz... – Chłopak wyciągnął pakiet i podał go Crowderowi.

Ten włożył listek do środka i oddał mu cały zestaw. Twarz Jake'a przypominała teraz niedojrzałego melona.

- A ty? – Crowder zmierzył go wzrokiem. – Pójdiesz do osady? Delhomme przytaknął ruchem głowy.

- Nie musisz.
- Nie, pójdę.
- Jesteś pewien?
- Pójdę.

Crowder dał znak Namarze, który dreptał w oddali, i ruszyli do Katwe.

Parę metrów od pierwszej chaty Crowder i Namara, zupełnie się ze sobą nie konsultując, zwolnili. Od smrodu poczuli zawroty głowy. Jake dotrzymywał im kroku, ale zataczał się jak pijany.

W końcu Crowder stanął. Smród zdawał się przedostawać aż do jego świadomości. Przy każdym wdechu miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Wszędzie wzdłuż drogi przecinającej Katwe z północy na południe leżały

wzdęte ciała. W oddali zamajaczyła potężna postać majora. Tanzańczyk, wycierając twarz chusteczką, przyglądał się budynkowi z wysuszonej cegły.

– Nie rozumiem... – wycedził Namara spod maski. – Powinny tu być... ptaki... cokolwiek żywego...

– Wszystko wyginęło. – Crowder kręcił głową, szukając miejsca, gdzie śmierć nie rzuciłaby się w oczy. – Nawet rośliny.

Wokół nie było słyhać nic poza ich ciężkimi oddechami. Śpiew ptaków, szelest zwierząt w trawie, brzęczenie owadów – nic z tego. Nawet czas zwolnił w oczekiwaniu na coś straszego.

Crowder i Namara staliby tak nie wiadomo jak długo, gdyby nie stłumione buczenie. Rozejrzeli się. Jake zerwał z twarzy maskę i zwymiotował do przydrożnego rowu. Widząc spojrzenia pozostałych, szybko się wyprostował i pomachał uspokajająco.

– Nic mi nie jest! – Twarz miał spuchniętą, oczy załzawione. – Panie Crowder, proszę się nie martwić, nic mi nie jest.

Crowder kiwnął głową i poszedł w głąb osady. Koman Namara poczłapał za nim.

– Co dokładnie chcecie zobaczyć? – zainteresował się Ugandyjczyk.

– Bywałeś tutaj wcześniej?

– Nie.

„To dlaczego pytasz?”

Po obu stronach drogi stały stare parterowe domy z płaskimi dachami i oknami zasłoniętymi szmatami. Tu i ówdzie do ścian przylegały przybudówki. Prawie nie było drzew, głównie krzaki, a z tych, które się trafiały, żadne nie górowało nawet nad najniższym budynkiem. Na jednym z podwórek Crowder zauważył grube kołki wkopane w ziemię; na rozciągniętych sznurkach wisiała wyprana bielizna. Nieco dalej widniało ogrodzenie, za którym leżały martwe kozy, a po drugiej stronie asfaltu stos cegieł.

Major Nangobi i jego trzech towarzysze skręcili na ścieżkę prowadzącą ku wzgórzu na północnym wschodzie i zniknęli za budynkami. Crowder się zatrzymał. Dlaczego się tu znalazł? Jaki jest sens włóczenia się po wiosce? Aby ustalić, co się tu wydarzyło, należy przeprowadzić sekcję zwłok, przynajmniej jednych, a do tego potrzebny jest specjalny transport, nosze i kombinezony ochronne. To nie jego robota.

Przyjrzał się ciałom leżącym najbliżej. Coś było nie tak. Po takim czasie powinny być już widoczne zewnętrzne oznaki rozkładu... Gdyby nie wzdęte

brzuchy, trupy wyglądałyby niepokojąco normalnie. Crowder nie wiedział, gdzie się ukryć przed ich szklistymi, jakby zdziwionymi spojrzeniami. Jakby zmarli próbowali mu coś przekazać i dziwili się, że ich nie słyszy.

Za jego plecami Jakiem znów targały mdłości. Crowder się rozejrzył. Asystent, pochylony, wsparł dłonie na kolanach. Właśnie się uspokoił i podniósł głowę, żeby pokazać, że wszystko jest już w porządku, kiedy kolejna gorąca gęła ucisnęła jego gardło.

Nagle Namara krzyknęła:

- Musimy się stąd zabierać!
- Co? Dlaczego? – Crowder się odwrócił.
- Przestał się pan pocić.
- Tak. To...

Przesunął palcami po twarzy, nad ochronnymi goglami. Jego czoło było suche jak pergamin.

– To... – Marszcząc czoło, Crowder zerknął na Namarę. – Co to oznacza?
 – Że to niedobrze – powiedział Ugandyjczyk. Ludzki organizm przestaje wydzielać pot, gdy proces ten nie umożliwi już pozbywania się nadmiaru ciepła i normalizowania temperatury; w myśl zasady, że jeśli wyciskanie wilgoci z gruczołów potowych nie pomaga, nie warto się tym zajmować.

Crowder wbił wzrok w punkt znajdujący się kilka metrów przed nim.

– Słyszysz pan, co mówię? – Namara uniosł rękę, ale nie odważył się nim potrząsnąć. – To niebezpieczne, może pan umrzeć.

Ustanie pocenia się w takim upale mogło skutkować wszystkim, od omdlenia po zatrzymanie akcji serca.

– Rozumiem. – Crowder skinął głową, zerkając w prawo. Kilka chałup przycupnęło na skraju drogi.

- Musimy iść – upierał się Namara.
- Spójrz. – Crowder wyciągnął rękę. Nie odrywał oczu od cieni pod najbliższym budynkiem.
- Co tam jest? – Namara zmrużył oczy.
- Kundel.
- Pies?
- Tak, pies.

Namara ściągnął brwi. Kiego diabła? Tu jest mnóstwo zdechłych psów.

- Panie Crowder, musi pan jak najszybciej...

I wtedy zobaczył. Wszystko, co kiedyś żyło w Katwe, teraz leżało martwe. Twarzą do góry, twarzą w dół, skulone czy rozciągnięte, ale leżało. A pies, na którego wskazywał Crowder, stał na czterech łapach.

Stał.

– On stoi – wyszeptał Namara.

– Ona – poprawił go Crowder.

W cieniu chaty przyczała się łaciata suczka z nabrzmiałymi sutkami i skudloną sierścią na karku. Wyliniała morda była opuszczona, jakby zwierzę wahało coś na ziemi. A jednocześnie się nie poruszało.

Crowder i Namara także stali bez ruchu, aż dołączył do nich Jake.

– Suka – wydusił chłopak.

– Tak – potwierdził Crowder szeptem.

– Żywa?

– Chyba, nie wiem.

– Stoi.

– Tak, ale się nie rusza.

Jake potarł czoło.

– Strach na wróble?

Crowder się skrzywił.

– Kto robi stracha na wróble w kształcie psa?

– A więc musi być żywa.

Tak naprawdę żaden z nich w to nie wierzył. Nie żeby potrafili sobie wyobrazić sytuację, w której pies zdechłby i nadal trwał w pozycji stojącej, po prostu nie mogli pojąć, że po tym, co wydarzyło się w Katwe, przetrwało tutaj cokolwiek żywego. Kiedy więc suka przechyliła głowę, jakby chciała ugryźć się w bok, a potem wyprostowała szyję, cała trójka aż drgnęła.

– Ona żyje!

Suka uniosła pysk i poruszyła nim w powietrzu. Po chwili uspokoiła się i na sztywnych nogach podeszła do chaty. Nie wydając żadnego dźwięku, kołysała się przez chwilę; w przód i w tył, w przód i w tył, jakby tarła bokiem o cegłę, tylko że stała kilka centymetrów od ściany. Nim ponownie zeszywniała, podreptała trochę w miejscu, przechylając się na lewy bok. Jej ciężkie sutki kołysały się przy tym rytmicznie.

– Jest ciężarna? – zapytał Jake szeptem, kiedy zwierzę ponownie zamarło.

Nikt nie odpowiedział. Cisza uciskała bębenki w uszach. Crowder, nie odrywając wzroku od psa, ruszył w jego stronę.

– Uważa pan, że powinniśmy ją zabrać? – wydusił z siebie Namara.

Crowder tak nie uważał, ale zdążył się już zorientować, że z suką jest coś nie tak, i postanowił podejść bliżej. Kiedy dotarł do rogu chaty, rozejrzał się i wzrokiem odszukał Jake'a.

– Wydaje się, że nie oddycha.

W taki upał każdy pies dyszałby intensywnie z językiem na wierzchu, ale ona tak nie robiła.

– Jak to? – Jake stał jak wryty.

Crowder wzruszył ramionami. W jego głowie zapłonął trzaskający ogień. Czuł, jak gorące języki liżą ściany jego czaszki, ale jedyne, o czym mógł myśleć, to że przez cały czas, gdy patrzył na sukę, ani razu nie zauważył, by jej żebra unosiły się lub opadały.

Poza tym było jeszcze coś.

– Chyba jest ślepa – powiedział. – Ma coś nie tak z oczami.

Oczy psa były zamknięte, a z kanalików łzowych wypływały ciemne strużki. Crowder doszedł do wniosku, że może to wszystko wyjaśnia – zwierzę poruszało się po omacku. A potem suka dostała drgawek. Przez jej mięśnie przebiegły fale dreszczy, jakby rażono ją prądem. Skręciła w bok, uderzyła łbem w ścianę, powlekła się dalej.

– Tam są jeszcze ciała. – Jake wskazał na drzwi. – W środku.

Crowder schylił głowę i rozejrzał się po ciemnym wnętrzu. Za progiem, twarzą do góry i ze stopami skierowanymi w stronę wyjścia, leżała dziewczyna. Wyglądała na szesnaście lat, nie więcej.

Ból z tyłu głowy się nasilił.

Pies upadł na bok, wstrząsały nim konwulsje, lecz Crowder nie spuszczał wzroku z wejścia do chaty. Coś nie pozwalało mu się odwrócić. Przez kilka sekund bił się z myślami – raz o psie, raz o dziewczynie – aż zdał sobie sprawę, co dokładnie przykuło jego uwagę. Dziewczyna nie miała wzdętego ciała.

Nogi same poniosły go do wnętrza.

Już od progu piekielny kwaśny smród opalił mu nozdrza. Śwąd był taki, że Crowder aż się zatrzymał, jakby wpadł na ścianę. Wykrzywił się, wsunął palce pod okulary ochronne i przycisnął oczy. Po chwili, pokonując własną niemoc, zrobił krok w stronę dziewczyny, jej twarz krył półmrok. Z miejsca, w którym stał, widział tylko jej różowe stopy. I gdy na nie spojrział, prawa z nich się poruszyła.

Crowder omal nie wyskoczył ze skóry z zaskoczenia. Dziewczyna żyła!

– Tutaj! – Zamachał rękami. – Do mnie!

Doskoczył do niej, przykucnął obok i złożył jej głowę na swoich kolanach. Jej ciało było ciepłe i podatne niczym plastikowa torba z jakąś żelopodobną substancją.

– Paskudztwo...

Smród zgnilizny drażnił błony śluzowe. Crowder zakaszał.

Namara przykucnął obok niego, zasłaniając nos obiema rękami.

– Żyje?

– Tak, poruszyła się.

– Cholera. – Namara dyszał ciężko. – I co teraz?

– Zabieramy ją stąd.

Gdy Crowder już miał wsunąć ramię pod plecy dziewczyny, ta otworzyła oczy i chwyciła go za łokieć. Namara krzyknęła i cofnęła się gwałtownie. Crowder również się wzdrygnął, ale pozostał na miejscu. Pochylił się nad dziewczyną i zdjął maskę, żeby jej nie przestraszyć.

– Słyszysz mnie pani? – Żadnej reakcji. – Proszę pani?

Dziewczyna wlepiła w Crowdera zmętniałe spojrzenie, milczała. Na progu chaty Jake znowu gwałtownie zwymiotował.

– Proszę pani... – wyszeptał Crowder.

Przez kilka długich sekund ciemnoskóra dziewczyna patrzyła na niego z autentycznym zdziwieniem, nie rozumiejąc, gdzie jest i jak się tu znalazła, po czym zamknęła powieki i zastygła. Crowder potrząsnął nią, próbował wyczuć puls, ale go nie znalazł.

Dwa następne zdania nałożyły się na siebie. Pierwsze rozbrzmiało w budynku. To krzyknął Crowder:

– Trzeba ją zabrać do szpitala. Natychmiast!

Drugie dobiegło z zewnątrz.

– Cofnąć się! Cofnąć! – wrzeszczał major Nangobi. – Gdzie wy wszyscy, do cholery, jesteście?! Idźcie do Falcona!

Namara wyskoczył na zewnątrz. Crowder wziął dziewczynę na ręce i poszedł jego śladem.

Korpulentny Tanzańczyk pędził z niewyobrażalną jak na swoją wagę szybkością, wyprzedzając szczuplejszych towarzyszy o dobre dziesięć metrów. Podbiegłszy, zahamował tak gwałtownie, że prawie zwałił Jake'a z nóg.



– Co jest? – zapytał Crowder.

– Cztery pikapy na północy. – Od ciała majora buchał gorąc. – Poruszają się w naszą stronę.

Obok nich, nie zatrzymując się, przemaszerowali ugandyjscy esbecy.

– Grupa poszukiwawcza? – Obraz przed oczami Crowdera falował, ręka podtrzymująca uda dziewczyny stawała się ciężka jak ołów. – Ta, która próbuje odnaleźć samolot? – Nagle uświadomił sobie, że grupa poszukiwawcza raczej nie przemieszczałyby się pikapami.

– Widzi pan tu gdzie fragmenty samolotu po katastrofie? – Nangobi szturchnął Jake'a w plecy i machnął ręką w kierunku zmiennopłata.

– Więc kto to? – dopytywał Crowder.

Zamiast odpowiedzi major wydał z siebie zdyszane sapnięcie:

– Do cholery, bierze ją pan ze sobą?

– Ona żyje.

– Ja pierdołę! Dobra, dawaj ją tutaj.

Nangobi był cięższy i silniejszy, Crowder podał mu dziewczynę. Tanzańczyk przerzucił ją przez ramię i się skrzywił:

– Szlag, ona już śmierdzi!

– Ona żyje! – przypomniał Crowder zimnym, metalicznym głosem. – Otworzyła oczy i chwyciła moją rękę.

Major kiwnął głową, odkładając tę dyskusję na potem, i rozkazał:

– Biegiem do Falcona!

I wszyscy pobiegli.

Koman dogonił Ugandyjczyków. Jake był z nich wszystkich najwolniejszy i gdyby nie ciężar, jaki dźwigał Nangobi, dobiegłby jako ostatni. Mimo to on i major utrzymywali podobne tempo. Dotarli do zmiennopłata, Crowder chwycił się drzwi, aby nie upaść. Łapiąc spazmatycznie powietrze, wszedł do kabiny, a gdy się odwrócił, zobaczył pierwszego pikapa wylaniającego się z chmury pyłu na końcu asfaltowej drogi.

Silniki już pracowały, Falcon rwał się do nieba, co kilka sekund unosząc się tuż nad ziemią. Crowder, przekrzykując szum łopat, wrzasnął do Jake'a i majora:

– Szybciej! Uwijajcie się!

W następnej chwili Jake potknął się i runął na twarz. Nangobi zwolnił. Nie zdejmując dziewczyny z ramienia, chwycił chłopaka za kołnierz i szarpnięciem postawił na nogi. Po kolejnej sekundzie Jake'a podniosło

dwóch Ugandyjczyków. Wciągnęli go do kabiny jak worek. Major wskoczył na pokład jako ostatni.

– Na miejsca! Na miejsca! – komenderował pilot łamiącym się z napięcia głosem. – Startujemy!

Nangobi rzucił dziewczynę na fotel, zapiął jej pas bezpieczeństwa, po czym opadł na siedzenie naprzeciwko i też się zapiął. Crowder posunął się dalej. Jego miejsce zajął Jake, który usadowił się na wolnym fotelu po lewej stronie. Silniki zaryczały, a zmienno płat się uniósł.

Crowder przesunął palcami wzdłuż linii włosów, ani kropli potu, po czym przyłgął do iluminatora.

Asfaltową drogą w kierunku zjazdu z Katwe sunęły trzy pikapy. Nangobi wspomniął o czterech, ale ostatniego nigdzie nie było widać. W końcu dwa samochody zatrzymały się w pobliżu miejsca, w którym Crowder trafił na ciężarną sukę, a jeden podjechał do strefy lądowania Falcona. Na drogę wysypali się mężczyźni w wojskowych mundurach i kraciastych chustach – kefijach. Większość uzbrojona w kałachy. Dwóch lub trzech miało nowoczesne karabiny Warmonger. Crowder wstrzymał oddech, czekając, aż któryś z nich wyjmie z bagażnika przenośny przeciwlotniczy system raketowy i strąci ich z nieba, ale mężczyźni po prostu stali tam i z zadartymi głowami patrzyli, jak samolot się oddala.

Po osiągnięciu odpowiedniej wysokości pilot wykonał ostry zakręt; powiódł ich na południe, jak najdalej od gór i Katwe, a ludzie w kefijach zniknęli im z pola widzenia.

Crowder odetchnął. Gdy śmigła Falcona zaczęły przecinać kurtynę chmur, w miejscu, w którym piaskowa mierzeja przechodziła w ciemną wodę, zauważył poruszającą się rybę i ponownie pomyślał, że jezioro żyje. Jezioru nic się nie stało. Cokolwiek wydarzyło się w Katwe, Jezioro Edwar-da nie miało z tym nic wspólnego. I wtedy przypomniał sobie o dziewczynie.

Uwalniając się z pasów, rzucił się w jej stronę. Położył palce na jej szyi. Przesunął nimi w górę i w dół z nadzieją, że wyczuje puls w tętnicy szyjnej.

Bicia serca nie było.

Crowder powiódł spojrzeniem po Ugandyjczykach.

– Jest wśród was lekarz?

Milczenie.

– No dobrze.

Odpiął dziewczynę, położył ją na podłodze i usadowił się pomiędzy fotelami. Odrzucił jej głowę do tyłu, opuścił podbródek, drżącymi rękami wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zakrył posiniałe usta. Następnie złożył dłonie, oparł się nimi o środek klatki piersiowej i głośno licząc, zaczął naciskać:

– Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Pięć! Sześć! Siedem!...

Doliczywszy do trzydziestu, przerwał, nachylił się nad dziewczyną i dwukrotnie wdmuchał powietrze w jej otwarte usta. Potem odczekał kilka sekund, upewnił się, że klatka piersiowa się nie porusza, i powtórzył wszystko raz jeszcze.

– Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Pięć!...

I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Crowder nie przestawał, naciskał coraz mocniej, liczył głośniej, w desperackim szale, niemal wściekle, wtłaczał powietrze w jej płuca, lecz bezskutecznie. Jake w końcu zdobył się na odwagę i dotknął jego ramienia.

– Już wystarczy. Umarła.

Falcon przebił się przez chmury i leciał teraz równo, bez drgań. Crowder w dalszym ciągu przyciskał dłonie do wątłej dziewczęcej klatki piersiowej. Chłopak pociągnął go mocniej.

– Tyrone. – Jake zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd zaczął pracować w GEO, zwrócił się do szefa po imieniu. – Dosyć. Ona nie żyje.

I Crowder w końcu przestał.